W Łochowie nie wolno palić na ulicach, kłopotliwi goście w parafiach zuzelskiej i nurskiej, pranie u włościan, napad pod Ostrowią, a w samej Ostrowi spory w żydowskiej szkole

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.
Ilustracja wyróżniająca opracowanie:
Brok, lipiec 1939 r. Aleksander Małkiński z żoną Ireną podczas ostatnich w jego życiu wakacji. Aleksander Małkiński urodził w roku 1912, w Broku. Był absolwentem Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Łomży. Służbę wojskową w 71. Pułku Piechoty w Zambrowie ukończył w stopniu podporucznika rezerwy. Z Ireną Balówną pobrali się w roku 1938. Ostatnim miejscem pracy pana Aleksandra była szkoła w Czuczewiczach na Polesiu. Walczył w obronie Lwowa, a po dostaniu się do sowieckiej niewoli, podzielił tragiczny los tysięcy polskich oficerów.
Fotografia z archiwum rodzinnego Wojciecha Najmoły, syna pani Ireny,
pozyskana dzięki uprzejmości Marty Kotowskiej

W gminie Łochów ostro zabrano się do walki z paleniem tytoniu przez dzieci. Kto tylko zobaczy milusińskiego z papierosem w ustach, „powinien go zaprowadzić do wójta albo do sołtysa, a przynajmniej podać jego imię i nazwisko". Dostało się i dorosłym więźniom nałogu – nie wolno im palić na ulicach. Bardziej liberalne podejście mają władze gminne w stosunku do trunków i lokali z wyszynkiem. Jest ich w gminie siedem i wszystkie mają się dobrze.

Korespondent poczytnego tygodnika donosi, iż mieszkańcy wiosek Pętkowo-Wymiarowo oraz Ołtarze-Gołacze zgodzili się z dobrego serca, aby na należących do nich gruntach rozlokowali się w sporej liczbie reprezentanci nacji, znanej z zamiłowania do wędrownego stylu życia. Ów korespondent twierdzi, że przybysze nie zachowują się, jak na gości przystało i wielka z tego bieda dla wiosek sąsiednich, a nawet i dalszych.

Wielu czytelników prosi o informacje dotyczące codziennego życia naszych praprzodków. A co może być bardziej codziennego i biskiego ciału niż czysta koszula? Zamieszczamy zatem artykuł o praniu, z którego to artykułu wyciągamy daleko idące wnioski. Redakcja wreszcie zrozumiała, czemu w wiekach minionych narodziny chłopca uważano za dar, dziewczynki zaś za istny dopust Boży. Z treści publikacji jasno wynika, że przyjście na świat dziewczęcia oznaczało katastrofę finansową rodziny. Przyczyna jest zaś taka, że przeciętna panna na wydaniu zużywała nawet trzy razy więcej mydła niż jej równolatek płci przeciwnej. Dorośli faceci, to także chodzące oszczędności, gdyż zwykle „noszą wierzchnią odzież aż do zdarcia bez prania i dlatego nawet umyślnie wybierają materiały ciemne, »niesmolące«, żeby brud na nich nie był widoczny".

Wojewoda białostocki donosi, że sytuacja na podległym mu terenie nie napawa optymizmem. Niespokojnie jest także w powiecie ostrowskim. Pod stolicą powiatu doszło do napadu na drodze publicznej, a w samej Ostrowi ortodoksyjni rodzice pragną, aby żydowscy skauci nie zarażali ich pociech świeckimi ideami.

Kredo redakcji można streścić w trzech, niewiele różniących się słowach – optymizm, optymizm i jeszcze raz optymizm. Każdy problem staramy się zatem rozwiązać, a przynajmniej objaśnić zgodnie z wyżej wyłożoną filozofią. Oto pan Jakub, przyczyniający się do wzrostu krajowego PKB, poprzez prowadzenie własnego biznesu, przysłał nam list, w którym wyraża irytację spowodowaną faktem, iż jest wprost zasypywany lawiną nowych ustaw, zarządzeń, z

których wszystkie – zdaniem ich twórców – mają mu zrobić dobrze. Pan Jakub twierdzi, że ma dosyć durnych, nieżyciowych zarządzeń, a dobrze, to sam potrafi sobie zrobić (nie sprecyzował, co ma na myśli).

List przeczytaliśmy podczas naszego kolegium redakcyjnego, a tak się składa, że Zenek, geniusz matematyczny (jak już z pewnością czytelnicy wiedzą), pomagał ostatnio swemu wnuczkowi w zrozumieniu problemów z zakresu statystyki. Zenek stwierdził, że pan Jakub nie powinien się legislacyjną biegunką trapić, a wręcz przeciwnie – należy się cieszyć. Im więcej bowiem ustaw, zarządzeń, rozporządzeń, tym większa jest szansa, że władza wymyśli wreszcie coś mądrego. Tak stanowią prawa statystyki, a z nimi nie sposób dyskutować.

A teraz list od pani Marii. Wiosna jest już mocno zaawansowana, a pani Maria twierdzi, że jej zamożny sąsiad wciąż jeździ na wózku inwalidzkim. Rok wcześniej, długo, bo aż do czerwca chodziła o kulach jego córka, rok przed nią syn, a jeszcze wcześniej kuśtykała miesiącami żona. Niestety, czytelnicy, którzy oczekują, że czeka ich mrożąca krew w żyłach opowieść o dręczącej rzeczoną familię klątwie, albo ckliwa historyjka o arystokratycznym rodzie cierpiącym na przekazywaną z pokolenia na pokolenie przypadłość, zwaną chorobliwą łamliwością kości – popadły w mylny błąd!

Chodzi mianowicie o to, że z niezrozumiałych dla przeciętnego obywatela naszego kraju, a w tym dla pani Marii przyczyn, rodzina ta uparła się, aby co roku wyjeżdżać na narty. Nasza korespondentka zastanawia się zatem, po co to robią, skoro wiedzą, że skutki podobnych eskapad są opłakane.

Pani Mario, obawiamy się, że nie rozumie Pani po prostu metodyki działania przekaźników elektryczno-chemicznych w umysłach klas wyższych. Niech sobie Pani wyobrazi, że osiągnęła w swym życiu wszystko: meblościanka przepełniona jest bibelotami i nie da się tam wcisnąć nie tylko sztuki bolesławieckiej porcelany, ale i kryształu produkcji tak rodzimej, jak i czeskiej; Pani podłogi pokrywają lśniące, inkrustowane panele; wszystkie sprzęty AGD noszą z dumą znaczki oznaczające najwyższą klasę energooszczędności; na stole gości prawie codziennie dorsz lub halibut zamiast morszczuka czy pangi; wnuki noszą ciuchy wyłącznie markowe; poznała już Pani praktycznie cały świat, bo i Bułgarię, i Egipt, i Tunezję, bawiąc tam w wersji luksusowej, czyli *all inclusive*.

Dla wyjaśnienia zagadnienia sięgnijmy do literatury. W jednej z polskich powieści wieśniakowi udało się pozyskać cytrynę czy też pomarańczę z pańskiej oranżerii. Poczęstował tym owocem (nie śledzimy najnowszych europejskich regulacji, więc możliwe, że warzywem) syna, a ten nie mógł się nadziwić, iż bogacze jedzą tak kwaśne paskudztwo. Otóż to! Gdy człowiek osiągnie już wszystko, to nie ma już do czego dążyć, a w jego życiu panuje pustka. Ludzie majętni mają to nieszczęście, że żyją właśnie w takim przykrym stanie. Mają po prostu tak dobrze, że od czasu do czasu nachodzi ich chętka, aby standard swego życia na momencik obniżyć. Najłatwiej zjeść coś obrzydliwego, a w wersji *hard*, czyli takiej graniczącej z masochizmem, zrobić coś całkowicie bezsensownego, zagrażającego życiu własnemu i stawiającego Narodowy Fundusz Zdrowia na krawędzi bankructwa.

Czymś takim jest właśnie narciarstwo. Oczywiście, jest to zajęcie absolutnie nielogiczne, bo jeżeli nie jest się dzieckiem, to jaki ma sens całodzienne wspinanie się na górkę, po czym z niej zjeżdżanie… i znowu, i znowu? Zrozumiałe, że takie coś, może niczym grzechotka cieszyć noworodki, ale ludzi dojrzałych?! Jaka jest przyczyna, że ktoś, kto chodzi na co dzień w szytych

na miarę, super wygodnych butach, nagle wciska na stopy ciężkie narciarskie buciory? Jest to o tyle dziwne, iż bywa, że jest to człowiek inteligentny, który wie, że prawdopodobieństwo, iż za chwilę połamie sobie w tych buciorach kończyny, jest tysiąc razy większe, niżby spędzał czas w zamszowych papuciach, w miłym, bo domowym zaciszu.

Okazuje się jednak, że nie jest to jedyna przyczyna. Redakcja prenumeruje wiele periodyków, a pośród nich pismo „Die Welt der Rheinland-Pfälzer Schornsteinfeger". W jednym z ostatnich numerów tego szanowanego kwartalnika ukazał się artykuł znanego naukowca, dzierżącego jedną z katedr prestiżowego uniwersytetu. Dzięki jego wnikliwej pracy ujrzeliśmy omawianą kwestię w całkiem nowym świetle. Okazuje się mianowicie, że narciarstwo zaczęło zyskiwać na popularności wraz ze zmierzchem mody na wolnomularstwo. Autor wykazuje, że nie ma mowy o przypadku, skoro obie te aktywności są równie bezsensowne.

Dziwaczne masońskie szaty zostały zastąpione przez wzmiankowane buty, kombinezony, rękawice, gogle, kaski. Nawiasem pisząc, to większość ludzi prezentuje się w tych akcesoriach fatalnie, więc redakcja, jako że powszechnie jest uważana za arbitra elegancji, radzi wolnomularzom i narciarzom poszukać innych modowych inspiracji – tysiące złotych przeznaczonych na bezkształtny kombinezon można roztrwonić znacznie roztropniej!

Narty, kijki, to nic innego jak substytuty cyrkli, węgielnic i pionów. Rolę masońskich loży odgrywają zaś stacje narciarskie, zwykle równie trudno dostępne, ukryte przed wzrokiem szarych śmiertelników, gdzieś wysoko w górach. Nieco ironicznie napisaliśmy o procesie wspinania się i zjeżdżania z górki, sugerując, iż to dziecinna zabawa. Z lektury artykułu w „Die Welt der…" wynika jednak, że ta z naszego punktu widzenia fantasmagoria, to rytuał, a sensu rytuału rozumem objąć nie sposób. Zatem to także namiastka masońskich tradycji, symboli, znaków, gestów. Tu z kolei przykład nie z literatury, ale z filmu, tyle że nie wiemy, czy przykład zmyślony, czy dobrze udokumentowany. Otóż niejaki Monty Python, przedstawił w formie nieco prześmiewczej, działanie brytyjskiego Ministerstwa Głupich Kroków[1]. Osobom przyglądającym się z zewnątrz aktywnościom pracowników tego urzędu, może się wydać, iż są to kroki bzdurne, a wręcz błazeńskie. Nie wykluczone jednak, że tkwi w nich jakiś głęboko ukryty sens, dostrzegalny wyłącznie przez owych biurokratów.

Co jednak najważniejsze i co po raz kolejny łączy narciarzy z masonami, to aura tajnego stowarzyszenia. Nieroztropnie wydane pieniądze, wyrwane z życia tygodnie, czas stracony w kolejkach do wyciągów i klaustrofobicznych wagoników, narażanie się na kalectwo, a przynajmniej na hipotermię, to po prostu haracz za przynależność do sekretnego klubu. Już na kilka miesięcy przed swym wyjazdem w góry, wszystkim chętnym informacji tej wysłuchać, ale i takim chęci niewykazującym, narciarz z dumą oświadcza – Jadę w tym roku tu i tu, w góry takie i takie, gdzie bywa ten i ten, a zatem przynależę do tego i owego. Warto też zwrócić uwagę, że narciarz zazwyczaj jest także cyklistą, a związek między cyklistami a masonami został już dawno dowiedziony.

Zatem Pani Mario – te inwalidzkie kule i równie inwalidzkie wózki, to nie zwykły sprzęt rehabilitacyjny, ale symbole przynależności do sekretnego, niedostępnego dla Pani i dla nas klubu. Tak Pani, jak i my musimy się po prostu pogodzić z faktem, iż tego świata nie rozumiemy i tak pozostanie, co Beata jako miłośniczka westernów, podsumowała okrzykiem – Howgh!

[1] Z fragmentem tego arcyważnego dokumentu można się zapoznać TUTAJ.

[„Gazeta Świąteczna”, nr 50 (206) z 14 grudnia 1884 r.]

Z gminy Łochowa pisze do nas pan Szczurek, że niesłusznie ktoś z gminy łochowskiej skarżył się w Gazecie na to, iż nie bronią tam palić tytoniu małoletnim. Zakaz ten już dawno istnieje, a nawet dorosłym nie wolno palić na ulicach. Zabroniono także handlarzom i sklepikarzom sprzedawać dzieciom tytoń i papierosy. Dopilnować wykonania tych uchwał może i powinien każdy. Kto tylko zobaczy dzieciaka palącego, powinien go zaprowadzić do wójta albo do sołtysa, a przynajmniej podać jego imię i nazwisko. Gdy jeden i drugi zostanie ukarany, to inni będą się stosowali do zakazu.

W gminie łochowskiej, a parafii kamionnej jest aż siedem karczem. Za karczmę znajdującą się we wsi Kamionna szynkarz płaci 500 rubli, w Wymysłach rubli 300, w Baczkach 300, w Łojewie więcej niż 100, w Laskach 150, a w Łojkach prawie 100. Razem płacą przeszło 1800 rubli i na to przecie wszystko muszą się złożyć tamtejsi parafianie. Więcej jeszcze, bo oprócz tego, że płacą za karczmy, szynkarze muszą się utrzymać, wyżywić i odziać rodzinę. Nie tylko zaś szynkarzom nic nie brakuje, ale przeciwnie, dobrze się mają, nawet majątki robią. A ileż z szynków płynie grosza do gorzelni, ileż akcyzy od tej wódki skarb pobierał?! Gdyby nie wódka, wszystko to pozostałoby w rękach parafian.

Stacja kolejowa w Łochowie ok. roku 1910.
Źródło: *Putieszestwije po Pietierburgo-Warszawskoj żeleznoj dorogie. Czast' 3. Ot Wilny do Warszawy*, na portalu *humus.livejournal.com.*

[„Zorza”, nr 26 z 16 sierpnia 1900 r.]

Z LISTÓW DO „ZORZY”

Ze wsi Kałęczyna
w pow. ostrowskim, gub. łomżyńskiej

Smutne wieści wypada mi podać do „Zorzy” z naszego zakątka. Największą klęską wioski i okolicy naszej są Cyganie, którzy obrali sobie za legowisko zimowe wieś Pętkowo-Wymiarowo nad Bugiem, w parafii zuzelskiej. Ludność wsi okolicznych nie jest zadowolona z tego i oburza się na pętkowiaków, za udzielanie im gościny, bo Cyganie nieraz i im porządne szkody robią. Poznali już teraz pętkowiacy, choć poniewczasie swój błąd i mocno obecnie żałują swej nieroztropności, ale ponieważ piśmiennie się zobowiązali do pewnego czasu dawać im na mieszkanie swą wioskę, więc obecnie muszą cierpieć, a z nimi i okolica cała. Każdej wiosny po opuszczeniu [przez przybyszy] swego zimowego legowiska, pętkowiacy spostrzegają, że wiele rzeczy małych na pozór, im braknie.

Teraz zwłaszcza w porze letniej, wielkie szkody wyrządzają Cyganie na łąkach, w polu i w lesie. O pół wiorsty od naszej wsi rozkładają się oni corocznie obozem „na letnich mieszkaniach” w lasku należącym do zagonowej szlachty ze wsi Ołtarze-Gołacze nad rzeką Pukawką. Gdy lud w czasie żniw jest zajęty pracą w polu, iżby w zimie nie przyszło na pamięć owo przysłowie, że „w lecie każdy sobie zapas zbiera, bo próżniak, niedbalec to z głodu umiera”, to i Cyganie zbierają, ale jakim sposobem?

Kiedy około domu nie ma nikogo, zwabiają do siebie wszelki drób i porywają go bezkarnie. Zakradają się sadów, niszcząc z prędkości drzewa owocowe, bo „na złodzieju czapka gore”. Na łąkach wypasają swe konie, w lesie drzewo całymi nocami wypalają, w polu kartofle niemiłosiernie kopią, nieraz całymi zagonami, że po nich zostaje niekiedy tylko pokopisko, jak po dzikach. Zboże znika z dziesiątków i mędli.

A jak sprytnie umieją oszukać gospodarza! Na pozór zdaje się, że wszystko zboże stoi na polu, a zajedziesz zbierać, to od spodu u snopów nie ma kłosów, tylko słoma. Dodać należy, że w nocy tak się cicho sprawić umieją, że nazajutrz w tym miejscu nie znajdziesz ich śladu. Przede wszystkim ołtarzewiacy winni, nie dać im się rozlokowywać w swoim lesie, niechby dalej wędrowali. Jak wiadomo, bardzo roztropnie postąpili z nimi w gub. warszawskiej, czyniąc u władz starania o możliwe obostrzenia, żeby Cyganie-włóczęgi nie postawali po wsiach. Zdaje się, że i u nas można by złemu zaradzić, choć w części, gdyż tu idzie o mienie, a przede wszystkim o pozbycie się nieproszonych gości, czyhających na nasze dobro.

M. Łomżyniak

[„Zdrowie“, R. 17, seria 2, z. 5 z maja 1905 r, s. 341-345]

PRANIE U WŁOŚCIAN

Podała J. Milewska

Uwagi o praniu u włościan, które zamierzam tu podać, pochodzą ze szczegółowego ryzpytywania w tym względzie tych włościanek, których stosunki ze mną i rozgarnięcie, pozwalały mi przypuszczać, że usłyszę od nich odpowiedzi szczere i prawdziwe.

Dane moje pochodzą tylko z guberni płockiej z dwóch wsi: jednej w pow. ciechanowskim, drugiej w rypińskim. Z pierwszej tylko wsi zebrałam osobiście wiadomość o praniu od 10 rodzin i od 4 dziewek folwarcznych. Wiadomości z drugiej wsi o 7 rodzinach otrzymałam przez osoby trzecie.

Wyniki z obu tych wsi są bardzo do siebie zbliżone. Kiedy u mnie wychodziło rocznie mydła na samo pranie w różnych rodzinach od 14 do 38 funtów [1 funt to 0,41 kg], przeciętnie zaś 30,25 funta na rodzinę, a 5,22 na głowę, to w drugiej wspomnianej wsi, o kilka mil[2] odległej i choć w tej samej guberni, ale w innej etnograficznej okolicy, bo nie na Mazowszu, ale w ziemi dobrzyńskiej położonej, cyfry wypadły niemal te same. Mydła do prania wychodziło od 13 do 45,5 funta rocznie na rodzinę, przeciętnie zaś 30,64 f. rocznie na rodzinę, a 5,64 f. na głowę. Znaczne różnice pomiędzy pojedynczymi rodzinami w ilości zapotrzebowanego przy praniu mydła zależą przede wszystkim od tego, jak liczną jest rodzina, następnie – czy na ogół jest porządna, czy niechlujna, wreszcie, czy są w rodzinie dorosłe dziewczęta, zużywające najwięcej mydła do prania.

Właściwości etnograficzne i zwyczaje w różnych okolicach naszego kraju są tak rozmaite, że bynajmniej nie twierdzę, by wnioski przeze mnie otrzymane można było uogólniać na kraj cały.

Pierwszą osobliwość prania u włościan stanowi użycie ługu, tj. na popiół ze spalonego drzewa nalewają gorącą wodę i po zlaniu przechowują ją do prania. Ług taki jest przeważnie roztworem węglanu potasu. Ług jasny, pochodzący z drzewa twardego, uchodzi za lepszy, niż ług żółtawy z drzewa sosnowego. Za najlepszy uważają ług z drzewa jałowcowego.

W takim ługu z mydłem piorą brudną bieliznę dwa razy, potem kładą ją w garnki, zalewają wodą i zagotowują, wreszcie płuczą w zimnej wodzie.

Użycie ługu do prania nie jest powszechne. Z wypytywanych przeze mnie 10 rodzin, połowa ich ługu nie używa. Czy i dawniej już nie wszyscy ługu używali, czy dopiero zarzucają go w ostatnim czasie, tego nie umiem powiedzieć. Oszczędność na mydle, powstająca dzięki używaniu ługu, wynosiłaby, wedle mego rachunku, jakieś 10 kopiejek na osobę rocznie.

Druga osobliwość prania u włościan jest ta, że powtarza się ono z konieczności bardzo często, przeciętnie blisko co dwa tygodnie, ale u wielu rodzin regularnie nawet co tydzień. Dzieje się

[2] Pomimo, że miary nowopolskie zostały w roku 1849 oficjalnie zastąpione przez miary rosyjskie, to jeszcze przez wiele lat posługiwano się systemem nowopolskim: 1 mila nowopolska to 8,53 km; 1 mila rosyjska to 7,47 km [przyp. aut. opracowania].

to z konieczności, bo bielizny mają bardzo mało. Jeszcze starsi miewają po kilka koszul, ale dzieci prawie zawsze tylko po dwie, czasami trzy.

Przedmiotem prania są koszule wszystkich członków rodziny oraz spódnice i zwierzchnie ubranie kobiet, dziewcząt i niemowląt. Innej bielizny poza koszulami nie noszą, a przynajmniej nie piorą, np. onuczek zastępujących skarpety i pończoch. Zwierzchnie ubranie męskie piorą chyba tylko wyjątkowo porządne kobiety. Zwykle zaś mężczyźni noszą wierzchnią odzież aż do zdarcia bez prania i dlatego nawet umyślnie wybierają materiały ciemne, „niesmolące", żeby brud na nich nie był widoczny. To samo dotyczy i starszych kobiet, które ubierają się ciemno i dlatego rzadziej piorą suknie.

Przeciwnie młodsze kobiety, a zwłaszcza dziewczyny, spotrzebowują bardzo dużo mydła, ponieważ wybierają na suknie kolory jasne, a chcą, żeby na nich było czysto. Kiedy więc przeciętny roczny wydatek na mydło u włościan wynosi 58 kopiejek na głowę, to przeciętny wydatek dziewki folwarcznej wynosi trzy razy tyle, bo sięga aż 1 rubla w srebrze 71 kopiejek rocznie. Cztery dziewki wypytywane przez mnie wydają na mydło do prania od 1 rs. 20 kop. do 2 rs. 16 kop, rocznie.

Stąd właśnie pochodzą znaczne różnice w zapotrzebowaniu mydła między różnymi rodzinami, zależne od tego, czy w danej rodzinie są panny dorosłe, czy nie. Dlatego też dziewki służące w miejscach, gdzie im nie wolno prać sobie albo państwo nie dają na to czasu, opłacają dwa razy drożej wynajęte praczki, niż parobcy kawalerowie. Parobek taki płaci praczce rocznie pieniędzmi 3-4 rs., chociaż pospolicie, godząc się, wymawia on sobie na opranie dwie lichy pod kartofle. Licha jest to przestrzeń pola pół pręta [1 pręt to 4,32 m] szeroka, a 20 prętów długa. Istotna wartość takich dwóch lich przeznaczonych pod kartofle wynosi najwyżej 2 rs., a więc jest dużo niższa od zwykłej rocznej opłaty za pranie, stanowiącej 3-4 rs. Praczki jednak chętnie przystają na taką zamianę, zyskują bowiem nadzieję, że w razie wyjątkowego urodzaju kartofli, będą miały znacznie wyższy dochód. Dziewka, niemająca możności sama się opierać, oddaje wynajętej praczce 3-4 lichy pod kartofle. (Dodać trzeba, że w różnych okolicach roczny koszt prania znacznie się różni. W Raciążku np. (pod Ciechocinkiem) parobek kawaler płaci rocznie praczce nie 3-4, ale 6 rs.

Pranie większe, dotyczące i bielizny z pościeli, powtarza się nie często, przecięciowo co dwa miesiące, ale w bardzo wielu rodzinach zaledwie cztery razy do roku. Pranie to z konieczności bywa częstszym tam, gdzie jest małe dziecko, które, sypiając nieraz z matką, przyczynia się oczywiście do większego i szybszego zabrudzenia pościeli. Żeby uniknąć częstego prania pościeli, rzadko używają na nią bielizny białej, najczęściej zaś kolorową, różową, a nawet i ciemniejszą. Poszewki miewają na zmianę, ale powłok na pierzyny prawie się nie spotyka, chyba u dziewczyn służących.

Pierwsze małe dziecko podnosi bardzo koszt mydła do prania w domu. Gdzie dzieci jest dużo, tam wydatek na ich opranie wydaje się mniejszym, niż na takąż liczbę dorosłych.

Trzecią właściwością prania u włościan jest marnowanie mydła i stosunkowo ogromny na nie wydatek. Włościanie kupują do prania najgorszy gatunek mydła. Mydła szarego potasowego nie używają, kupują mydło sodowe niebieskawe, bardzo miękkie i nader łatwo rozpuszczające się. Zapasu mydła nie robią, ale przy każdym praniu kupują potrzebną ilość „za tyle a tyle groszy". Za te najlichsze mydło płacą drogo, znacznie drożej, niżby wypadło przy kupowaniu tegoż mydła na wagę. Nieraz funt takiego mydła, sprzedawany właściwie w tym samym

sklepiku po 18 groszy, kosztuje włościankę 28 groszy z powodu, że je kupuje w mniejszej naraz ilości.

Jakkolwiek bądź, koszt mydła w budżecie rodziny włościańskiej wynosi stosunkowo do ogólnej cyfry budżetu bardzo dużo. W budżecie dziewki folwarcznej równym jakieś 100-120 rs., koszt mydła do prania około 2 rs. jest ogromny.

Porównywając wydatek na mydło u włościan z wydatkiem tym w klasach inteligentnych, średniozamożnych ze zdziwieniem przekonamy się, że różnica jest tu stosunkowo niewielka. A przecież rodzina średniozamożna ma bez porównania więcej bielizny do prania: bieliznę stołową, pościel dla gości itp. Obliczając wydatek na mydło do prania w kilku średniozamożnych domach, znalazłam roczny jego koszt na głowę w jednym domu 1 rs. 39 kop., w drugim 1 rs. 43 kop., w innym 1 rs. 54 kop., ale i 1 rs. 4 kop., a nawet 84 kop. Wszędzie więc znacznie mniej niż koszt mydła u dziewki folwarcznej (1 rs. 71 kop. rocznie). Wydatek na mydło do prania u włościan wynosi 58 kop. na głowę, a więc połowę tego, co u państwa. Na funty włościan zużywa 5.22-5,64 f. mydła do prania rocznie na głowę. Jednostka zaś z klas zamożniejszych od 8,5-12,5 f.

Przyczyny tego zadziwiającego faktu trzeba szukać: 1) W tym, że włościanie za najgorsze mydło, a klasy zamożniejsze za najlepsze, płacą niemal tę samą cenę. 2) Owego najlichszego mydła, marnuje się przy praniu mnóstwo – rozpływa się ono bowiem w ręku. 3) Przy bardzo częstym praniu u włościan, co 1-2 tygodnie, marnuje się daleko więcej mydła, niż u klas zamożniejszych, gdzie pranie odbywa się co 3-4 tygodnie. Włościanka przy częstym praniu wylewa mydliny, które jeszcze mogłyby służyć swemu przeznaczeniu. 4) Na dopranie się bielizny bardzo przebrudzonej wychodzi więcej mydła niż na dwukrotne nawet wypranie mniej brudnej bielizny. 5) Wreszcie może i grubość płótna włościańskiego utrudnia jego wypranie.

Do powyższych danych Wydział Higieny Ludowej niewiele innych może przytoczyć, dla porównania: p. Władysław Brzoska ze wsi Dębowo w pow. augustowskim doniósł, że przeciętna rodzina zużywa na prania 40 f. mydła rocznie po 9 kop; p. Milewska liczy na rodzinę 30,5 f.; p. Rodzewicz z Kuczborka pod Mławą dawał przykład, że matka z dorosłą córką zużywają rocznie do prania 11 f. mydła po 10 kop.

W Warszawie kilka rodzin stróżów i uboższych rzemieślników szacowało roczne zużycie mydła na 36 f. po 12 kop. Dr Bartkiewicz dla czterech ubogich rodzin znalazł przeciętną 7 f. na głowę po 11 kop.

W Warszawie przy praniu obok mydła uboższe klasy używają sody, chlorku i bielidła. Mydło kupują lepsze niż włościanie.

[Tygodniowe sprawozdanie sytuacyjne wojewody białostockiego nr 10 z 25 czerwca 1927 r.]

Powiat ostrowski. W dniu 24/5 br. na szosie Ostrów – Łomża dokonano napadu rabunkowego na mieszkańca m. Ostrowi Jankla Cielaka, któremu zabrano z kieszeni 470 zł gotówką i worek koniczyny wartości 80 zł.

Sprawców napadu w osobach: Józefa Ł. i Franciszka Sz., mieszkańców wsi Sulęcin Włościański, gm. Komorowo, pow. ostrowskiego ujęto (BP. 3300).

[Tygodniowe sprawozdanie sytuacyjne wojewody białostockiego nr 23 z 8 czerwca 1929 r.]

W Ostrowi Mazowieckiej dnia 1 bm. na zebraniu członków organizacji „Szlomej-Emunej-Izrael”[3] powzięto uchwałę protestują przeciwko zmuszaniu dzieci ortodoksów przez nauczycieli Żydowskiej Szkoły Powszechnej[4] do brania udziału w pochodach i ćwiczeniach razem z dziećmi należącymi do stowarzyszenia „Haszomer Hacair”[5], uważanego przez ortodoksów za stowarzyszenie o charakterze politycznym oraz wzywającą zarząd organizacji „Szlomej-Emunej-Izrael”, ażeby zaprotestował i przeciwstawił się temu postępowaniu nauczycieli Żydowskiej Szkoły Powszechnej i wreszcie upoważniającą zarząd wspomnianej organizacji i do interwencji w traktowanej sprawie u inspektora szkolnego i w Radzie Szkolnej Powiatowej (200 osób).

[3] Szlomej Emunej Isroel (pol. Pokój Wiernych Izraelitów) – organizacja Żydów ortodoksów [przyp. aut. opracowania].

[4] „Szkoły publiczne dla Żydów tworzone przez władze oświatowe w niewielkim stopniu różniły się od szkół publicznych dla dzieci polskich. Różnice dotyczyły: nauki religii mojżeszowej 2 godziny tygodniowo, ustanowienia sobót oraz świąt żydowskich dniami wolnymi od nauki, możliwości prowadzenia zajęć w niedzielę i święta rzymskokatolickie oraz krótszych ferii letnich w związku z dniami wolnymi z okazji przypadających w ciągu roku świąt żydowskich. Owe szkoły zwano szabasówkami. Domagano się wprowadzenia do szkół żydowskich nauki języka hebrajskiego, jednakże dążenia te okazały się bezskuteczne”, [za:] Anna Jaskóła, *Sytuacja prawna mniejszości żydowskiej w Drugiej Rzeczypospolitej*, praca licencjacka, Uniwersytet Wrocławski, Wrocław 2010, s. 50.

[5] Haszomer Hacair (pol. Młody Strażnik) – syjonistyczna organizacja skautowa [przyp. aut. opracowania].